MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 27. WARSZAWA, 30 CZERWCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

KU CZEMU DĄŻY JAPONJA?

BYŁOBY chyba błędem sądzić, że operacje wojskowo - polityczne armji kwantuńskiej w północnych Chinach mają na celu utworzenie nowego państwa, pozostającego — podobnie jak Mandżukuo — pod protektoratem Japonji lub też poprostu przyłączenie kilku prowincyj północno-chińskich do tegoż Mandżukuo i postawienie na ich czele cesarza Pu-ji. Cel taki, który przy obecnej słabości i osamotnieniu politycznem Chin może być stosunkowo łatwo osiągnięty, nosiłby wybitne piętno nietrwałości i świadczyłby tem samem o niewielkim rozumie politycznym nacjonalistów japońskich, twórców i kierowników obecnej polityki kraju Wschodzącego Słońca. Oderwanie bowiem bogatych prowincyj północnych wykopałoby przepaść nie do zasypania między Chinami a Japonją, rzuciłoby rząd nankiński w ramiona Sowietów i ułatwiłoby mocarstwom europejskim i Stanom Zjednoczonym w przyszłości grę antyjapońską nad Oceanem Wielkim.

Japończycy popełniliby błąd ogromny, gdyby przez swą krótkowzroczną zaborczość konsolidowali wspólny front Chin, Sowietów, Europy i Ameryki przeciw sobie.

Japońscy nacjonaliści postawili sobie cel zupełnie przeciwny: pragną oni pozyskać Chiny do wspólnego z Japonją frontu przeciw Sowietom i przeciw mocarstwom. Postanowili oni wyzyskać obecne kłopoty wewnętrzne mocarstw i nieprzygotowanie militarne Sowietów do przeprowadzenia wielkiego planu, który streszcza się w haśle: Azja dla azjatów. W wykonaniu tego planu dążą obecnie do zlikwidowania pozaazjatyckich wpływów politycznych narazie w Chinach, zanim przyjdzie kolej na dalsze terytorja. Ten wielki plan przeprowadzić mogą jednak tylko w porozumieniu z 400-miljonową masą Chińczyków, która choć powoli ale stale organizuje się politycznie i podnosi kulturalnie. Mowy nie mogłoby być o realizacji tak ogromnych zamierzeń, gdyby Nankin pozostał upokorzony i odrzucony do obozu wrogów Japonji.

Prawda, że środki, jakich japońska armja używa, wydają się nam mało odpowiednie dla pozyskania współpracy Chin. Ale pamiętajmy, że przemoc jest normalną metodą działania wszystkich wojskowych, a po drugie, liczyć się trzeba ze specjalną psychiką ludzi Wschodu, którzy dobrze łączą działania wojenne a raczej wojskowe, (bo do starć w Chinach nie dochodzi) — z dyplomacją i propagandą. Japonja pragnie udowodnić Chinom, że nie mogą liczyć na żaden zewnętrzny sukurs że są zupełnie od niej zależne. Do tego służą operacje wojsk. Równocześnie zaś ambasador japoński w Nankinie, (gdyż Japonja podniosła ostatnio poselstwo swoje do rangi ambasady), przedstawia Kuomintangowi korzyści, jakie Chiny odniosą ze współpracy z Japonją. Dotychczasowe wyniki świadczą, że ta podwójna akcja odnosić może duże sukcesy.

— — — — — — — — — — — —

Jakiż był przebieg ostatnich wypadków?

W dniu 31 maja 1933 r. podpisany został w Tang-ku między Japonją a Chinami rozejm, który położył kres walkom, wywołanym zajęciem Mandżurji przez wojska japońskie. Nietylko właściwa Mandżurja, ale i prowincja mongolska Dżehol dostała się pod wpływy Japonji. Rząd nankiński zobowiązał się zakazać bojkotu towarów japońskich i propagandy anty-japońskiej w całych Chinach.

Mimo tego układu armja kwantuńska rozpoczęła przed kilku tygodniami marsz na południe, przekroczyła Wielki Mur i usunęła z prowincji Hopei dotychczasowe władze cywilne i wojskowe, które zastąpione zostały władzami również chińskiemi ale filo-japońskiemi. Powody tej operacji? Fryderyk II mawiał: „Nieładnie jest zaczynać wojnę bez powodów, ale ostatecznie znajdą się zawsze jakieś powody". Komenda japońska znalazła

takie powody w zamordowaniu dwu dziennikarzy chińskich, japonofilów w Tientsinie i w aresztowaniu czterech oficerów japońskich w prowincji chińskiej Czachar, którzy podróżowali tam bez paszportów. Dodajmy, że byli to oficerowie ze służby wywiadowczej. Powody były błahe i śmieszne oczywiście. Ale dowództwo japońskie uznało je za dobrą okazję do drugiego etapu działań, dawno już przygotowanych. Pierwszym etapem była okupacja Mandżurji. Mówimy tu ciągle o dowództwie, gdyż rząd tokijski dopiero *ex post* sankcjonował inicjatywę i działania swej armji kwantuńskiej, a w szczególności jej „szefa służby specjalnej" czyli jej kierownika politycznego jenerała Doihary.

Marsz na południe osiągnął szybko swój cel. Wojsko chińskie wycofało się z Hopei na południe poza Rzekę Żółtą. Wielka ta prowincja zarządzana jest teoretycznie dalej przez Nankin, ale urzędnicy chińscy muszą mieć *agrément* rządu tokijskiego. Liczy Hopei 140.526 km. kwadr. i około 38 miljonów ludności. Należy do najbogatszych prowincyj w Chinach. Na jej obszarze leżą takie miasta jak Pekin (lub Pejping), dawna stolica, z przeszło miljonem mieszkańców i Tientsin z ludnością 1,387.000 mieszkańców. Rząd nankiński zgodził się na żądania japońskie, gdyż nie miał innego wyjścia. Liga Narodów już w sprawie mandżurskiej okazała się bezsilną. Teraz do niej nawet nie apelował.

Za drugim etapem poszedł szybko etap trzeci: Jacyś bandyci, jakaś propaganda antyjapońska — dostarczyły Japończykom pretekstu do postawienia dalszych żądań. Domagają się oni teraz od Chin, by zrezygnowały z poszukiwania pomocy u mocarstw obcych i zaciągania pożyczek gdzieindziej poza Japonją, by wytępiły bojkot antyjapoński i zniżyły cła dla ułatwienia importu japońskiego, wreszcie by zgodziły się na gospodarczą współpracę z Japonją i Mandżukuo. W Nankinie daje się odczuwać pewien opór przeciw tym twardym warunkom. Poseł chiński w Londynie przypomniał rządowi brytyjskiemu traktat 9-ciu mocarstw z r. 1922, który gwarantował Chinom całość i niepodległość. Ale protest ów nie może mieć żadnych skutków. Nikt dziś nie ruszy palcem w obronie Chin. Wzmaga się zresztą w samych Chinach partja pro-japońska. Program antyeuropejski i antyamerykański działa na wyobraźnię całej rasy żółtej.

Jest możliwem, jak przypuszcza p. Moresthe, redaktor pisma *„Journal de Shanghai"*, że Japończycy wprowadzą porządki podobne jak w Hopei także w sąsiednich prowincjach chińskich: w Czehar (258 tys. km. kw.), w Szansi (161 tys. km. kw.), w Sujuak (364 tys. km. kw.) i w Szantungu (153 tys. km. kw.), czyli na obszarze przeszło miljona kilom. kwadr. Razem z Mandżurją dysponowaliby Japończycy czwartą częścią Chin i ludnością 110 miljonów, która kupowałaby towary japońskie i dostarczałaby bawełny Japonji. Handel Europy i Ameryki zostałby wyeliminowany—faktycznie, jeśli nie prawnie. Olbrzymi ten obszar pozostałby jednak nadal częścią składową Chin, z pewną rzecz prosta, autonomją i stałby się gwarancją współdziałania politycznego i gospodarczego Chin z Japonją, o co rządowi tokijskiemu głównie chodzi. „Dlaczego macie kupować kapelusze słomkowe u Anglików za 5 jen"—mówią Japończycy Chińczykom—„jeśli my je wam sprzedajemy po 1 jenie? Jeśli będziecie kupować w Japonji, zmniejszy się wasza nadwyżka importu nad eksportem o 50%. Jeśli dostarczycie nam bawełny za 900 milj. jen, bo tyle nam potrzeba, to wasz bilans handlowy stanie się aktywny, podczas gdy nabywanie towarów w Anglji i Ameryce czyniły ten bilans deficytowym, co wyraziło się w roku ub. wywozem srebra za 500 milj. jen"... Tak mówią agenci japońscy w Chinach i argumenty te, poparte akcją armji kwantuńskiej, mają siłę przekonywającą...

— — — — — — — — — — — —

Przyświeca działaniom i planom japońskim nowa ideologja azjatycka, wybitnie antyeuropejska. Oto co pisze m. in. nacjonalista japoński Ito:

„Narody rasy białej, które się znajdują na wschód i zachód od nas, są pozostałościami wieków barbarzyńskich. Okazały one, i okazują ciągle jeszcze, że były i są zdrajcami w stosunku do nas, azjatów, którzy byliśmy twórcami cywilizacji powszechnej. Dzięki potędze swego złota dopuszczają się one w Azji czynów nieludzkich.

Azja na to została stworzona, by azjaci mogli tam żyć. Nie jest ona dla ludzi Zachodu, którzy powinniby wrócić do siebie, tj. na zachód..."

Inny nacjonalista japoński, gen Abe, członek najwyższej rady wojennej, pisze: „cesarstwo japońskie może być powołane do prowadzenia wojny o wyzwolenie ras Azji i utrzymanie pokoju w tej części globu". Widzi on w akcji mandżurskiej fakt zerwania przez Japonję współpracy z mocarstwami, współpracy, która jej uniemożliwiała uprawianie własnej, narodowej polityki.

Posłuchajmy teraz, co mówi sam „Hitler japoński", jak nazywają gen. Doiharę:

„Japonja nie myśli o żadnej agresji terytorjalnej przeciw Chinom. Gdyby Chińczycy zrozumieli ducha, który nas ożywia, to zapomnieliby o przeszłości i znaleźliby wspólne z nami cele dla ochrony cywilizacji azjatyckiej".

Przez wspólne cele rozumie Doihara nietylko wyparcie wpływów zachodnich, ale przedewszystkiem — (niebezpieczeństwo wydaje mu się widocznie groźne) — zahamowanie ekspansji Sowietów. Te ostatnie znalazły w Mandżukuo „mur spiżowy", wstrzymujący ich pochód. Ale usiłują obecnie przeniknąć do Turkiestanu chińskiego (Sin Kiang).

„Jedynym na to kontrmanewrem właściwym"—pisze Doihara—„jest stworzenie jednostki gospodarczej Chino-Japonji dla wspólnej obrony przemysłowej. Taka współpraca w obecnej chwili, kiedy Chiny są zagrożone wpływami komunistycznemi, daje jedyną możliwość polepszenia w Chinach warunków przemysłowych i umocnienia ich systemu gospodarczego".

Wynikałoby z tego, że gen. Doihara obawia się bardzo skomunizowania Chin. Niewątpliwie, sowietyzacja tego kraju utrudniałaby ogromnie plany Japonji. Ale argument ten jest w dużej mierze straszakiem pod adresem państw zachodnich. Jak Hitler swoje zbrojenia i łamanie traktatów motywuje niebezpieczeństwem od strony Sowietów, tak i Doihara posługuje się chętnie tym popularnym argumentem wobec opinji publicznej Europy i Ameryki. Chodzi mu jednak nie tyle o Sowiety, ile o wydarcie Chin z pod wpływów politycznych i gospodarczych Zachodu. Chiny są olbrzymim rynkiem zbytu. Razem z Japonją stwo-

rzyłyby blok 500 milj. ludzi żółtych. Japonja zrobi też niewątpliwie wszystko, by zmienić nastroje Chińczyków, dotąd antyjapońskie, na antyzachodnie i japonofilskie. Jeśli się to uda, stanie na czele Azji przeciw „barbarzyńskiej rasie białej"...

Spory i współzawodnictwa państw na półwyspie europejskim, straszliwe przesilenie gospodarcze w Stanach Zjednoczonych znakomicie imperjalizmowi japońskiemu sprzyjają. Nawet niedostrzega się tutaj, jak wielki przewrót dokonywa się na azjatyckich brzegach Pacyfiku. Azja, kontynent wielkich imperjów i wielkich inwazyj, gotuje się do odegrania nowej, jeszcze w mętach przyszłości tonącej, nieznanej ale groźnie się zapowiadającej roli...

PAR

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

SPRAWY MORSKIE ZA ZYGMUNTA III

(Dokończenie)

W LISTOPADZIE Zygmunt III wraz z królewiczem Władysławem przemknął się do Gdańska, którego mieszczanie bronili teraz z całą energją, obawiając się, że Gustaw Adolf weźmie ich krócej w cugle, aniżeli to robiła Polska. Po przyjeździe monarcha odbył przegląd sprowadzonej z Pucka floty, składającej się już z siedmiu okrętów, mianował admirałem i dowódcą Arenda Dickmanna, lubeczanina, i podpisał dekret, wznawiający ministerjum marynarki, ową „Komisję Morską" Zygmunta Augusta. Przywrócona komisja otrzymała nazwę Komisji Okrętów Królewskich. Zostali powołani do niej wyłącznie gdańszczanie, z radnym miejskim Hermanem von der Becke na czele. Komisja zabrała się energicznie do pracy, tembardziej, że Szwedzi przerwali na zimę operacje wojenne i odwołali swą eskadrę do portów macierzystych. Od listopada 1626 r. zaczęły się nieustanne wypady floty polskiej i rozpoczął się znów zamorski obrót Rzeczypospolitej. W roku następnym Koniecpolski przeszedł do działań zaczepnych, odzyskał Puck i rozbił Szwedów pod Amersztynem. Dickmann uwijał się żwawo na Bałtyku od kurlandzkich brzegów aż za Kołobrzeg, a w bitwie pod Oliwą (28 listopada 1627 r.) rozbił na głowę eskadrę szwedzką, krążącą pod Gdańskiem. Szala zwycięstwa zaczęła się coraz wyraźniej przechylać na stronę polską, bo i blokada morska, dzięki flocie, została złamana i Prusy Królewskie, dzięki armji, oswobodzone od nieprzyjaciela. Tradycyjny w Polsce brak pieniędzy na zapłacenie żołdu, powodujący maruderstwo i dezercję w szeregach, nie pozwolił Koniecpolskiemu przejść do działań rozstrzygających i wyrzucić Szwedów z Prus Książęcych. W każdym razie wiarołomny lennik Jerzy Wilhelm, na skutek zwycięstw polskich, zameldował się w obozie królewskim ze swą armją, a jednocześnie nadciągnęły posiłki cesarskie. Jednakże Gustaw Adolf znów rozpoczął blokadę brzegów, zapędzając z powrotem do Gdańska eskadrę polską i przenosząc działania wojenne do ziemi chełmińskiej w okolice Torunia. Korpus polski Stanisława Potockiego poniósł tam porażkę pod Gurznem (27 stycznia 1629 r.) i Toruń został zagrożony. Koniecpolski w odpowiedzi ruszył z głównemi siłami i oddziałami cesarskich z pod Grudziądza na Malborg i zadał klęskę samemu Gustawowi Adolfowi pod Trzcianą (27 czerwca 1629 r.). Równowaga na lądzie została przywrócona, a nawet Szwedzi zaczęli cofać się ku zalewowi Wiślanemu. Natomiast na morzu przewaga Gustawa Adolfa była już oczywista. Zygmunt III, ustępując nieoględnie życzeniom dworu wiedeńskiego, oddał całą swoją flotę do dyspozycji generalissimusa cesarskiego Wallensteina, który powziął zamiar opanowania Bałtyku na rzecz cesarza. Cesarstwo niemieckie zaczęło nawracać do swej idei z czasów średniowiecza i skierowało się ku morzu Bałtyckiemu, a król polski miał mu w tem sekundować. Eskadra Rzeczypospolitej wyszła z Gdańska i zawinęła do Wismaru, gdzie połączyła się z flotą cesarską i w parę lat później, w 1632 r., wpadła w ręce szwedzkie.

Rzeczpospolita była wyczerpana tą kampanją pruską. Złamały ją nietylko ofiary w ludziach, lecz przedewszystkiem dusił brak tchu, powstały z utraty Rygi na północy, a zamknięcia Gdańska na południu wybrzeża morskiego. Po zwycięstwie pod Trzcianą, które zwracało honor wojskowy armji koronnej, i wobec utraty swej floty, a nienadejścia obiecanej eskadry hiszpańskiej, Zygmunt III zgodził się na zawieszenie broni, mające charakter 6-letniego rozejmu. W rokowaniach pokojowych uczestniczyła głównie Francja, pragnąca pogodzić dwa tak niedawno przyjazne państwa, mające stanowić wielkie imperjum bałtyckie, przeciwwagę monarchji Habsburgów.

Dnia 26 września 1629 r. został podpisany rozejm Sztumski, który zatwierdzał właściwie stan posiadania z kampanji pruskiej: Inflanty zostały przy Szwedach z dołączeniem Dyneburga, Kurlandja była zwrócona całkowicie lennemu księciu Kettlerowi, w Prusach Książęcych garnizony Gustawa Adolfa stanęły w Braniewie (niem. Braunsberg), Piławie i Kłajpedzie, a wzamian za to Jerzy Wilhelm otrzymał na lat sześć Elbląg, Sztum, Głowę (niem. Haupt) i Malborg w Prusach Królewskich. Gdańsk zawarł oddzielną umowę ze Szwedami, na mocy której zobowiązał się do ścisłego przestrzegania neutralności w czasie rozejmu polsko-szwedzkiego, wzbraniając zarówno budowania okrętów wojennych na swych stoczniach, jak i korzystania ze swojego portu przez eskadry polską lub szwedzką, pozatem musiał sprzedać wszystkie posiadane okręty wojenne. Jako kontrybucja były nałożone przez Gustawa Adolfa cła morskie w Gdańsku i Piławie w wysokości $5^1/_2$% od wartości przywożonych towarów, z tego $3^1/_2$% brali Szwedzi, a 2% Gdańsk.

Zygmunt III widział przed zgonem skurczenie się polskiej linji brzegowej o połowę, czyli zmarnowanie trudów Zygmunta Augusta i Batorego co do Inflant, widział zdrady i przeniewierstwa swego nowego lennika królewieckiego, Je-

rzego Wilhelma, zamiast przyłączenia na wieczne czasy Prus Książęcych do Rzeczypospolitej widział zawieranie odrębnych umów ze Szwecją przez swój Gdańsk, występujący na prawach niezależnego państwa, i widział wreszcie zgubę swej marynarki wojennej, która w Wismarze musiała zamienić banderę polską na szwedzką. Był to jeden szereg cofnięć się i niepowodzeń polskiej polityki morskiej.

WITOLD HUBERT

WACŁAW BERENT

JAKO PISARZ POLITYCZNY

Z DATĄ podpisaną: „styczeń, w roku 1906", Berent wydał swego czasu pod literami S.A.M. broszurę o charakterze politycznym p. t. „Idea w ruchu rewolucyjnym" (nakład Drukarni Narodowej, Kraków 1906, str. 77).

Jeśli wydobywamy ją teraz z mroku zapomnienia, to, rzecz jasna, czynimy to ze względu na stanowisko literackie wielkiego pisarza, podobnie jak interesuje nas przecie wszelka błahostka, co wyszła z pod pióra np. Mickiewicza czy Norwida.

Otóż broszura ta jest szczególnie ważna dla analizy „Oziminy", w której są powtórzone, w dojrzalszym zresztą kształcie, niemal wszystkie jej pomysły.

Okoliczność ta, obok nawskroś indywidualnego, odrazu zwracającego uwagę, stylu pisarza, usuwa jakiekolwiek wątpliwości co do autorstwa rzeczy pomienionej. Osobno próbuję wykazać, aż nadto zresztą oczywiste, pokrewieństwa pomiędzy tą „Ideą" a „Oziminą", teraz zaś pomówimy trochę o samej tej próbie rozważań politycznych Berenta.

Doba jej wydania oraz tytuł odrazu nas orjentują. Pisząc swą książeczkę, Berent pozostawał pod wrażeniem i urokiem t. zw. „małej rewolucji rosyjskiej", której echem były polskie zamieszki rewolucyjne w latach 1905 — 7.

Berent nie widzi i nie chce widzieć tego wyraźnego pokrewieństwa, podobnie jak Żeromski, który w „Róży" żarliwie się odeń odżegnywa. Przeciwnie, autor nasz odrazu, od pierwszych słów, stara się nawiązać ową „rewolucję" do r. 1863:

„Po czterdziestoletnim „antrakcie" wiekowego dramatu odchyliła się wreszcie zasłona" — oto jak rozpoczyna się książka.

Motyw ten snuje się nicią czerwoną poprzez całą broszurę: „Widzów, którzy przez lat 40 spali... 40 lat pracowitego pokolenia uświęciło jego smutną egzystencję... Niema od lat 40 historja... Pokolenie zwiotczałe i mdłe w czterdziestoletnim antrakcie dziejowego dramatu... Ta niegiętkość, niesprawność, niepłomienność polskiej myśli — oto nasze dziedzictwo za ostatnie lat 40... Bilans naszego ducha fałszowany konsekwentnie od lat 40... Szkody czynione od lat 40... Aby nie zaprzepaściło się to nasze „wszystko", już nie na lat 40, lecz na wieki całe" (str. 1, 6, 7, 13, 72, 76, 77).

Widzimy odrazu, że autora samego porwał ów „impet chwili": „Dni tak szalonych" (pisze), „takiego upicia się tłumów nadzieją, szukaćby należało aż w czasach średniowiecza" (!?).

Nie dziwota tedy, iż musiało przyjść otrzeźwienie: „Z tego pijanego dnia nadziei doprowadzono ludzi do przytomności upustem krwi". Społeczeństwo zostało zdezorjentowane, tembardziej, że przez lat 40 „przed zapuszczoną kurtyną jawnego życia widzowie zdziecinnieli". (Bardzo być może, że właśnie to ostatnie określenie Berenta dało niebawem impuls Brzozowskiemu do jego znanego terminu „Polska zdziecinniała" dla epoki pozytywizmu).

Psychiczna reakcja wyprowadza teraz z cieniów rozmaitych „filistrów", którzy minione chwile podniecenia chrzczą imionami: „zamętu", „anarchji" i — „komunizmu". (Tu Berent ze swadą typowego intelektualisty dowodzi, iż połączenie tych dwu pojęć ostatnich jest... nielogiczne. Nie przychodziło mu snadź jeszcze naonczas na myśl, że może ono okazać się słuszne... psychologicznie i realnie!).

Autor powstaje żarliwie przeciw t. zw. umiarkowaniu:

„Nie brak u nas bezinteresownych, nieposzlakowanych, ochotniczych rzeczników umiarkowanej opinji, która, wobec wrzaskliwej brutalności obozów skrajnych, ma u nas wciąż kredyt opinji najbardziej *comme il faut*, mimo że w dzisiejszych czasach stawać się już ona zaczyna niską". Ludzi tych cechuje „nawyk, zgnuśnienie uczuciowe, wyjałowienie ideowe, atrofja entuzjazmu, oraz zła, chytra i płaska nieufność wobec każdej walki".

I tu Berent się nie cofa nawet przed insynuacją:

„Reakcja rządowa stała się ucieleśnieniem niejednych tęsknot t. zw. umiarkowanej opinji społecznej. W sposób zgoła już nie umiarkowany, bo nieliczący się z ludzką i narodową godnością, wypowiadano się za dalszem trwaniem stanu wojennego".

Ale autor bynajmniej nie sprowadza do mianownika tego „umiarkowania" całej „burżuazji". Przeciwnie, zapytuje wręcz „czy obrachunek interesów tej klasy nie uczyni ich w pewnych momentach nietylko platonicznymi zwolennikami rewolucji politycznej?"

Tymczasem z tej wielkiej masy żywiołów kulturalnych wydobywa autor przedewszystkiem poszczególne indywidualności, „natury niedość przystosowane", dla których „jedyną jeszcze formą egzystencji jest — samotność", — oraz żywioły zakonspirowane. W tem „życiu, któremu dziejowy nerw przecięto", odbywa się wciąż „całopalenie się najlepszych dusz". „Wpędzono znów w podziemia największe energje życia, aby te jego drożdże stały się w podziemnym fermencie „niewidomym jadem"".

I tu nader wymownie charakteryzaje Berent to „powietrze katakumb", co „staje się zgubnem dla wszelkiej bujności życiowej, która wszak najwięcej potrzebuje słońca"... Powietrze katakumb: rozkosz jednych — tajemnego rozporządzania życiem ludzkiem dla „dobra sprawy"; błogość innych — zrzucania ciężaru swej osobowości i bezwzględnego posłuszeństwa dla dobra tejże „sprawy".

I występując negatywnie wobec „kamiennego, zdrowo-rozsądkowego pozytywizmu“, autor czyni też zastrzeżenia wobec „doktryn niemieckich” i „materjalistycznych poglądów na dzieje”, atakując socjalizm o stemplu międzynarodowym.

„Tymczasem dosięga międzynarodowy socjalizm wyżyn ideału tylko w negacji... Stał się od lat kilkunastu tak rozpaczliwie monotonny i drętwy w uroczystych formułach, tak nieraz daleki od wielu palących zagadnień dzisiejszego życia, że pod tym względem prześcignął go chyba tylko Kościół rzymsko-katolicki”. (Wielce charakterystyczne zestawienie!).

Oburzają zwłaszcza Berenta, entuzjastę Nietzsche'go, ataki socjalistów na tego pisarza oraz na niektórych innych.

A jednak sądzi on, że „dziś się ujawniła głębsza konieczność ideowego paktu z socjalizmem”, gdyż jest on „przedewszystkiem formą ekonomicznego i państwowego życia, do jakiego wiedzie nieuniknienie (!) loika (!!) wszystkich faktów współczesnej cywilizacji materjalnej”.

Ale socjalizm w Polsce powinien mieć piętno własne. „Wszystkie ideje ogólno-ludzkie duchem narodowej świątyni przesycić się musiały; inaczej byłyby martwym zewłokiem, raczej zamrą wszelkiego ruchu, niźli jego bodźcem”.

I tu przechodzi Berent do jądra swych rozważań. Świadomie czy też nieświadomie powtarzając tęskne eksklamacje wielkich romantyków (Mickiewicza wołanie: o „s ł o w o, które rozczuli rozpacz marmurową” i t. p., oraz Słowackiego zapytania: „Kto słyszał jakie tajemnicze s ł o w o, na którem stanąć mogliby synowie?”, albo też: „Gdzież taki s a k r a m e n t, co by w niej, martwej, chodził siłą skrytą, jak krew żyjąca?”), Berent tak formułuje naczelny nakaz chwili dziejowej:

„Odczytać hieroglif (polskiej idei), wyrozumieć tę duszę gromadną, uświadomić sobie jej ferment najgłębszy — oto zadanie pokolenia”.

I wydaje mu się, że on to „słowo“ znalazł:

„Zmysł i czucie polityczne, odkrywszy tę fatalną (?) polskość w najbardziej międzynarodowym u nas ruchu, znajdą nieświadomie zadatki nowej Polski... Młody nasz ruch społeczny, ten pierwszy właśnie ferment rewolucji społecznej jest tą falą dziejową, która uderza raz na lat setki w najbardziej oddalone lądy... W zetknięciu z wielką dziejową ideą (t. zn. z socjalizmem), idea polska nietylko ubożeć nie powinna, lecz wyzbywszy się wszelkiej pleśni i śniedzi czasów, może oddziaływać odżywczo na swego sojusznika“.

Ideą tą jest — polski indywidualizm. „Bo co najlepszego było, jest i będzie w tym narodzie, wyrastało zawsze na bujnej glebie wszechstronnego indywidualizmu“.

Nosicielem zaś indywidualizmu była u nas zawsze, rzecz jasna, szlachta, — i oto Berent, idąc tu wyraźnie za Nietzschem, daje apoteozę tej warstwy:

„U nas te, nieliczne już, typy o instynktach naprawdę szlacheckich, są przetrwalnikami najcenniejszych posiewów życia: tężyzny, hartu, woli!... Poza fabrycznym proletarjatem jest to właściwie jedyny element rewolucyjny w kraju, ci, z tradycjami wyłącznie historycznemi, podsycanemi przytem żarem i płomieniem naszego romantyzmu“.

A oto jak w bajecznym skrócie maluje Berent psychikę tych socjalistycznych polskich szlachciców:

„W piersiach mają potomkowie rycerzy już od trzech pokoleń duszne powietrze niewoli, cuchnące wyziewy skarlałych wokół egzystencyj i niegasnące zarzewie zemsty; w instynktach wreszcie ślepy już imperatyw wiekowej rewolucyjnej tradycji“.

(W „Oziminie“ ze szkicu tego powstanie wspaniały, pogłębiony typ Komierowskiego).

Tu Berent się zatrzymuje, ogląda wokoło, i przypomina sobie Norwidowe *memento:*

„Między przeszłością a przyszłością zrodzone pokolenie czemże ma pozostać?“, poparte gorzką refleksją Wyspiańskiego:

„Stoimy u Polski granic, a mamy obecność za nic“.

Nasz autor niemal temiż słowy powtarza:

„Rozrywani między przeszłością a przyszłością bodajże wcale teraźniejszości nie mamy“.

I tutaj Berent nawiązuje do t. zw. „programu niepodległościowego“:

„Hasło monomanów niepodległości nie jest przynajmniej dwuznaczne. Spustoszony i krwią ociekający najlichszy szmat polskiej ziemi, zamieniony z wiekowego więzienia na wiekowe (z konieczności) koszary wojskowe, jest wygraną — dla idei p o l s k i e g o r z ą d u. (Czy tu nie tkwi przypadkiem bezwiedny sęk sprawy?)“.

A tę ideę niepodległości na pniu socjalizmu polskiego zaszczepi — szlachta. „Współudział czynnika indywidualizmu w naszym ruchu rewolucyjnym wniesie odnowioną ideę polską w ferment rewolucyjny tego wieku najbardziej nieświadomemi sprężynami czucia, myśli i woli”.

Ale doszedłszy do tego momentu Berent jakgdyby się cofa, przynajmniej stawia szereg zastrzeżeń.

Zdaje więc sobie sprawę, że „bronić trzeba kultury polskiej zarówno przed awanturniczem wszczynaniem jednostek, jak i przed piekielnym wirem tłumów i wypadków. Groźniejsze bowiem od wszystkich haseł jest gorące tchnienie rewolucji”. Obawy te swoje nader umiejętnie autor ilustruje rewolucyjnemi zapędami Maurycego Mochnackiego, który zwłaszcza w artykułach swych z r. 1833 w „Pamiętniku Emigracji Polskiej” był tak zdumiewająco bliski barbarzyńskim metodom bolszewickiej walki rewolucyjnej.

To też i Berent dostrzega teraz „przepaść pomiędzy bohaterstwem a awanturniczą, wschodnią fantazją”, karmioną strawą rosyjską. (To znowu pokaże w Komierowskim).

Co ważniejsza, wyraźnie już przecząc sobie, tak pisze: „Oczekiwaliśmy doniedawna zwycięskich hufców fabrycznego proletarjatu... i nie postrzegamy może, że naprawdę tuż u progu naszego własnego domu czyha, jeśli nie przeciwny, to odrębny prąd duchowy, że okazać się może rychło nowy i z w y c i ę s k i czynnik walki — l u d w i e j s k i!” (porównaj w „Oziminie“ postać chłopa Jędrzeja Niemsty z Kęt).

— — — — — — — — — — — — —

Oto bardzo szczegółowo streszczony tok wywodów Berenta.

Uderzają nas tu zwłaszcza dwie okoliczności. Przedewszystkiem niewątpliwie trafnie wyczuta rola szlachty w naszym tak socjalistycznym, jako też w t. zw. niepodległościowym ruchu. Wszystkie nasze atawistyczne skłonności podpatrzył autor, formułując np. takie zdanie: „Była i jest w naszym

narodzie większa pobudliwość powszechnej woli na czyjś indywidualny wysiłek, ofiarę i głos mocny, niźli na gromadzkie postanowienie i liczbę sejmowych gałek". (str. 42).

Ale pisząc tak i powołując się na rolę tego indywidualizmu w dziejach Polski, Berent nie zdaje sobie sprawy, że same przykłady przezeń dobrane (asymilacja humanizmu, Reformacji i haseł Rewolucji francuskiej) wykazują przecież bierność naszą w tych właśnie wypadkach, oraz zdolności raczej żywiołowe niż świadomie twórcze. Podobnie się rzecz ma z romantyzmem. I tu autor jest wyraźnie niekonsekwentny. Prawda, próbuje się wyzwolić z pęt ideologji romantycznej i tak np. pisze.

„Polska 30-go roku, gdy w kontemplacji nad dolą i przeznaczeniem narodu wmyślała się w takie głębie, sięgała takich szczytów twórczych, że prześcignęła pod tym względem wszystkie inne narody; gdy w ekstazie międzynarodowej ofiary płaszczem polskiego mesjanizmu pokrywała narody wszystkie — wówczas zdawać się mogło, że „tej arystokracji europejskiej rewolucji, tego sztabu dowódców dla sankiulotów całego świata" (słowa Kautskiego), tej nieegzystującej na politycznej mapie Polski z Ducha starczy przynajmniej póty, póty duch ciałem się nie stanie. S t a r c z y ł o j e j z a l e d w i e n a r o z p a c z 63 r o k u".

A jednak całym tokiem swej broszury Berent zanegował słowa powyższe i nie potrafił dostrzec tuż obok siebie żywotnych i na ten raz rzeczywiście twórczych i oryginalnych wysiłków, które organizowały przecież politycznie naród polski, po raz pierwszy na własnych podstawach, niezależnie od masonerji ani też socjalizmu. Samo imię Narodowej Demokracji spotykamy tu raz tylko jeden (na str. 33) — i to z akcentem potępienia za jej... imperjalizm.

Dlatego też zlekceważył autor nietylko instynkty gromadne ludu (wbrew przytoczonej apostrofie), nie tylko nie potrafił ocenić biologicznego procesu narastania (bądź co bądź) warstwy rozumowej w duszy polskiej ponad zmiennemi i ślepemi fluktami uczuć i instynktów, (czego dobitnym przykładem już niemal przed wiekiem była np. twórczość Norwida) — ale wręcz wykazał zdumiewający brak zmysłu politycznego — i to jest druga, najbardziej osobliwa cecha jego broszury.

Przecież Polska i wtedy leżała w samym środku Europy, podzielona na trzy części i wszelki rewolucyjny w niej ferment (przeciw komu? autor tego nie mówi, lecz ten tylko mógłby wątpić, kogo ma on na myśli, kto nie zna ideologji emigracyjnej i płynących z niej nałogów ówczesnych, w l. 1905—7, apolitycznie myślących polskich rewolucjonistów), byłby niebywale pomyślną okolicznością dla potężniejących wówczas z dniem każdym Niemiec i ponad wszelką wątpliwość stałby się dla nich punktem wyjścia do ich hegemonji w Europie.

Otóż Berent zupełnie sobie z tego nie zdaje sprawy i Polska dlań, to iście „wieczny romans Mochnackiego", jak mówi w „Róży" Zagozda.

Niemniej też charakterystyczne, iż niechęć wielkiego pisarza do katolicyzmu, doprowadziła go, z psychologiczną koniecznością, aż do przypisywania jakiejś wydatniejszej roli... marjawitom:

„Pokrzywdzona dusza tłumu odwzajemni sobie zbytni materjalizm haseł (socjalizmu) sympatją dla etycznych stron, matołkowatej zresztą, dewocji marjawitów" (str. 55).

Interesujące, czy ten epimeteizm Berenta nie wypływał z kultu Nietzsche'go? Z jego pogardy dla „tłumu" i dla chrześcijaństwa? Bądź co bądź rzecz ciekawa: Berent — protektorem marjawityzmu!

STANISŁAW CYWIŃSKI

SAWA GOŁOWANIWSKIJ

K R Y M

Krymska noc jak atrament rozlewa się czarnym spokojem,
Kroczy cieniem, mrok snuje, kładzie się w pustych dolinach,
Niebiosa rozkroimy, klnę się, jak gwiaździstą kopułę:
Otworzy się przed nami wiecznych tajemnic kraina.

Zenit i nadir zgłębić w odwiecznej radości tworzenia,
Wysokość i głębokość, wagę poznać każdej rzeczy,
Wyjść na spotkanie szczytom większym od wyniosłego
[Aj-Petri,
Odkryciom, jakich w męce próżno ród szuka człowieczy.

Młodość nasza minęła na pól cmentarzyskach szarych,
Zdala od żaru walki inną lat kroczyła drogą.
Cóż, mam więc opowiadać o młodem swojem pokoleniu?
Że wojownikom kule zbieraliśmy, gdy walczyli z wrogiem?

Lub w rozpacz się pogrążyć? W posępną rozmyślania gorycz?
Czy jak Hamlet rozdwajać się, za snem iść i marzeniem,
Jeśli w noc omotaną łańcuchem żałosnych widziadeł
Zstępować ku nam zaczną ojców pogubione cienie?

Ojców i braci cienie, ach, bosych towarzyszów broni!
Ślad waszych stóp nie ostygł jeszcze w dróg przebytych pyle
Szczodrze wami zasiała pola wszystkie Rewolucja,
Abyście kłosem bujnym wydarli się swej mogile.

Krym urzekł nas swym czarem. W echu morskich głębokich
[westchnień
Krąży Hamlet. Z cieniami nocą zmawia się u brzegu.
Prochy kiełkują w ziemiach: ziarno rzucone przez Epokę.
Żyjecie w nas — odwagą, przez śmierć wyrwani z szeregu.

Uczcie niezwyciężenie nas żyć, byśmy byli gotowi
Głowy dawać na ścięcie i serca oddawać na zrąb —
Pod ogniem i pod wodą, nad nowo odzyskanym Krymem,
Nad wojenną prawdą spiżowych trąb!

Przełożył T. B. SYGA

Wiersz powyższy jest bardzo charakterystyczny dla nowej poezji rosyjskiej, która opiewała dotychczas maszynę, nie widząc za nią człowieka. W literaturze rosyjskiej takie pojęcia jak: ojczyzna, rodzina, wiara nawet zaczynają nabierać wartości („Zdeprecjonowane wartości znów poczynają nabierać wartości" — jak wyraził się pewien krytyk — marksista).

DO CZYTELNIKÓW

Numerem niniejszym zamykamy tom I bieżącego rocznika.

Upraszamy Sz. odbiorców „Myśli Narodowej” o niezwlekanie z opłatą drugiego półrocza (lub kwartału) i o uregulowanie zaległości. Byt pisma, wydawanego nakładem prenumeratorów od nich zależy. Prosimy też bardzo o szerzenie pisma w kołach znajomych.

Roczniki „Myśli Narodowej” powinny pomnażać bibljotekę domową, dlatego radzimy kompletować tomy. W tym celu należy wyjąć spis rzeczy z końcowego w tomie numeru i, położywszy go na wierzchu, tom związać. Oprawę doskonale zastępują teczki, w domu sporządzone, w postaci dwu tekturek, ściągniętych tasiemkami.

GŁOSY CZYTELNIKÓW

W OBRONIE BRYDŻA

Od jednego z czytelników „Myśli Nar.“ otrzymujemy nastepujące uwagi:

W SWOIM CZASIE redaktor Jan Rembielinski pisał, iż objawiający się bardzo szeroko pociąg do brydża nie świadczy najlepiej o czasach, w których żyjemy. Choć autor przyznał, że sam niekiedy również siada przy zielonym stoliku, nazwał brydża „rozrywką emerytów”, świadczącą, iż nasza inteligencja dobrowolnie się „zredukowała” od zarządzenia sprawami narodowej polityki i kultury.

Znacznie później akademik Wincenty Rzymowski poszedł w ślady swego utalentowanego poprzednika i w „Kurjerze Porannym” zaczął zawodzić:

„...przez to zabijanie w życiu człowieka jego godzin samotnych, przez okradanie go z każdej chwili, w której mógłby sięgnąć po książkę i z książką skonfrontował swoją myśl własną, lub własne przeżycia, kartograjstwo staje się namiętnością, która klęską dewastacji przechodzi przez umysłowość całych grup społecznych”.

Akademik gromi księgarzy, którzy umieszczają w witrynach sklepowych podręczniki gry brydżowej i zarzuca im nawet niefachowość:

„Jakże więc nazwać księgarza-wydawcę, który całe okno swego przybytku poświęcił na propagowaniu brydża? Jest on może zapalonym brydżystą, ale z pewnością złym księgarzem”.

Czy gromy akademika Rzymowskiego są uzasadnione? Czy brydż szkodzi książce? Czy szachy, tennis lub kawiarnia nie szkodzą?

Każdy po pracy spędza czas według upodobania. Część z tego czasu idzie na „samotne godziny” doskonalenia się, ale druga część obrócona będzie na rozrywkę i to nietylko na rozrywkę w samotności z książką rozrywkową w ręce, ale ale na niezbędne dla każdego normalnego człowieka obcowanie z ludźmi, do których mamy upodobanie czyli — innemi słowy — na życie towarzyskie.

Brydż przeważnie stanowi rozrywkę towarzyską i dlatego nie szkodzi książce, lecz raczej kawiarniom i dancingom, bo ma zdolność do konkurowania tylko z innemi rozrywkami. Nie każdy lubi mieszać się z tłumem w lokalach publicznych, które przeważnie, a u nas szczególnie, są przedłużeniem ulicy i stanowią zaułki dla zamożnych uliczników, stroniących w rozrywkach od tego, co nazywamy domem rodzinnym. Kawiarnia i dancing zaspokajają tęsknotę do bezimiennego tłumu, przepływającego przez lokale, ale przecież są ludzie, którzy nie mają tego rodzaju ciągot i, miast znajdować upodobanie w sadowieniu się na całe godziny obok stolika eleganckiego szubrawca, wolą zaspokajać swój pociąg do ludzi przez obcowanie z osobami przez siebie wybranemi, o znanych manjerach, dobrych instynktach i... niezaszarganej przeszłości.

Obcowanie z ludźmi nie jest oparte wyłącznie na rozmowie. Mniej nawet oparte być może dzisiaj, gdy przyjemnych tematów do szczerej wymiany myśli nie mamy tak wiele. O polityce wielu ludzi mówić nie lubi, lub nie chce, o literaturze, w epoce Kadena-Bandrowskiego, tembardziej... Przy brydżu można nieco pomilczeć i poczekać na lepsze czasy do rozmowy.

Delbet wywodzi, że upadek starożytnych cywilizacyj nie pochodził od wojen, lecz wskutek wyczerpywania wartości mineralnych gleby, a głównie magnezji, nieustannie spłókiwanej do morza. Nie wiem, czy pogląd ten jest słuszny, ale w każdym razie zdaje się mieć więcej racji od dowodzenia, że na naszą cywilizację dybie... brydż. Tak samo, jak nie ma on siły na to, aby szkodzić książkom, które kształcą, a więc tym, które czyta się w skupieniu, tak samo chyba tylko przez nieporozumienie odmawia mu się tych wartości, któremi góruje nad wielu innemi rozrywkami, nie ganionemi przez mędrców z akademickiego Parnasu.

MACIEJ SUŁKOWSKI

NAUKA i LITERATURA

NAGRODZONY „NORWID”

NA DOROCZNEM uroczystem posiedzeniu Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie podano w sprawozdaniu do wiadomości, że Akademja przyznała nagrodę im. Barczewskiego Zygmuntowi Wasilewskiemu za pracę historyczno-literacką p. t. „Norwid”. Jak wiadomo, większa część rozdziałów tej książki ogłoszona była na łamach „Myśli Narodowej”, z tego względu pewno zainteresują czytelników motywy, które Komitet nagrody przedstawił Akademji. Podajemy je w całości:

„Wnioski i sprawozdania w sprawie nagrody z fund. ś. p. Probusa Barczewskiego, za najlepsze dzieło historyczne, ogłoszone w r. 1934.

Z dzieł naukowych, które ogłoszono w r. 1934, rozpatrywanych przez Komitet, kilka bardzo wybitnych nie mogło być przedstawionych do nagrody, a to ze względów ściśle formalnych. Spośród tych, które posiadały warunki formalne, Komitet wyróżnił książkę p. Zygmunta Wasilewskiego p. t. „Norwid”, Warszawa 1935, str. 243 + 2 nlb.

Jakkolwiek niewolna od pewnych wad, posiada ta książka cenne zalety. Wady omawianej książki polegają na tem, że jest ona raczej szkicem monograficznym, aniżeli pełną monografją, chociaż bowiem autor usiłuje znaleźć syntetyczną formułę, tłumaczącą całość twórczości Norwida, szczegółowo przedstawia tylko młodość poety na gruncie warszawskim i podczas pierwszych lat pobytu zagranicą. Następnie pewne ujęcia, choć w zasadzie słuszne, nie są umotywowane zupełnie przekonywająco, a to zarówno zagadnienie mazurskości Norwida, jak przedewszystkiem jego

stosunek do filozofji romantycznej, sprowadzony do stosunku poety do systemu Fichtego jedynie.

Nad wadami temi, do których dodaćby można kilka jeszcze drobnych nieścisłości, górują jednak niepospolite zalety książki. Przedewszystkiem więc posiada ona duże walory literackie, jest żywa i plastyczna, daje bardzo zajmujący i wierny portret poety, niema w niej ani balastu problematycznej erudycji, ani częstej w pracach o Norwidzie przesady. Autor, operując elementami psychologicznemi i socjologicznemi, oraz dobrą znajomością epoki, rzuca portret Norwida na tło jałowych lat listopadowych w Warszawie, ukazując zupełnie przekonywająco, jak zaciążyły one na dalszej karjerze poety. Niemniej ciekawie, a równocześnie przekonywająco ustalony jest stosunek Norwida do życia emigracyjnego. Dzięki temu Norwid, przez krytykę literacką naukową i pseudonaukową, umieszczany w jakimś przestworze achronologicznym, zostaje tu związany ze swoją epoką, z jej wielkością i małością. Stanowi to bardzo cenną zdobycz w naukowem ujmowaniu zagadnienia norwidowskiego, ustala jego pozycję historyczną. Książka Wasilewskiego jest wreszcie bardzo śmiała, ukazuje niedomagania artystyczne poezji Norwida, przedstawia fatalny, dezorganizujący wpływ na poetę tułaczki, tłumaczy jego dziwactwa, równocześnie jednak akcentuje prawdziwą wielkość zdeklasowanego artysty, walczącego z atmosferą, która go zabijała i ratującego swą godność ludzką. Są to zalety bardzo niepospolite i one właśnie wyznaczają książce niepośledniе miejsce w literaturze o Norwidzie.

Komitet wreszcie zwrócił uwagę na fakt, że Z. Wasilewski od lat czterdziestu ogłasza studja naukowo-literackie o Goszczyńskim, Mickiewiczu, Słowackim i t. d., o Kasprowiczu, Żeromskim, Iłłakowiczównie i t. d., przyczem niektóre z nich należą do najlepszych prac, danym pisarzom poświęconych.

Wobec tych zalet książki p. Wasilewskiego Komitet uchwalił jednomyślnie przedstawić ją Walnemu Zgromadzeniu P. A. U. do nagrodzenia nagrodą im. Probusa Barczewskiego.

JESZCZE REGJONALIZM

Zofja Kossak-Szczucka nazwała Śląsk „nieznanym krajem" i to jej trafne określenie stało się już własnością ogółu, mimo, że Śląsk staje się coraz bardziej znanym krajem, choćby już dzięki samym jej powieściom. Walnie do tego odkrywania Śląska przyczynia się Instytut Śląski w Katowicach, będący jedną z najbardziej ruchliwych regjonalnych placówek.

Pisząc niedawno o regjonaliźmie lubelskiem — wyróżniłem go wśród innych, zaznaczając równocześnie, że Śląsk należy do tych województw, które dałyby się skupić koło Krakowa, jako centrum, czemu jednak przeszkadza wyraźna odrębność jego losów. Ta odrębność jest tak wybitna, że tworzy ze Śląska już nie regjon, ale kraj oddzielny w granicach Rzeczypospolitej.

Jasne więc jest, że Śląsk, nawet zjednoczony z macierzą i regjonalny bez cienia separatyzmu, ma jednak swe oblicze i swą własną bogatą twórczość. Ma on inną od Polski historję, inny skład społeczny, inny styl i tryb życia — to wszystko wpływa właśnie na to, że jest to zawsze mimo całego poznawania — kraj jeszcze nieznany i że Instytutowi Śląskiemu nie zbraknie tematów do licznych publikacyj.

Powstały niedawno, może jednak się poszczycić szeregiem wydawnictw. Z ostatnich na czoło wysuwa się studjum Tadeusza Silnickiego p. t. „Rola dziejowa Kościoła polskiego na Śląsku w wiekach XI — XIII".

Praca to niesłychanie ciekawa i mimo nieznacznych rozmiarów (razem z przypisami stron tylko 46), niezmiernie ważna. Gdy chodzi bowiem o średniowiecze — Śląsk przodował wśród dzielnic Polski i nadawał nieraz ton polskiej kulturze. Stąd potrzeba dokładnego zbadania jego dziejów— a gdy studjum p. Silnickiego traktuje o Kościele, zrozumiałe się staje znaczenie tej pracy dla dziejów naszej kultury. Przodującą rolę Śląska w życiu Polski średniowiecznej widać tu jasno, jak również wielkie znaczenie biskupów wrocławskich, przyrodzonych wodzów owej „*Silesia Sacra*". Oprócz tej strony tematycznej daje praca p. Silnickiego i coś innego: — obalenie mitu ważności cywilizacyjnej kolonizacji niemieckiej na Śląsku. Jest to tem ciekawsze, że ta rewizja nie idzie bynajmniej wbrew nauce niemieckiej, ale razem z nią i że bezstronna nauka niemiecka przyznaje, iż „nie kładli Niemcy podwalin pod budowę organizacji kościelnej na Śląsku i nie oni tę organizcję wznosili, oni wykończyli tylko to, co zastali, a co było rdzennie polskie i zachodnie" (s. 36).

Za bardzo szczęśliwy pomysł należy uznać wydawanie przez Instytut Śląski trzy razy na miesiąc specjalnych komunikatów (dotychczas wyszło 35), będących rodzajem zwięzłych referacików o różnych sprawach dotyczących Śląska. Dwa ostatnie traktują o współczesnej literaturze Śląska i o Jerzym Samuelu Bandtkie z racji setnej rocznicy jego zgonu.

Uczony ten jest w tem szczęśliwem położeniu, że jego rocznicą zainteresować się powinny aż trzy regjonalizmy: — lubelski, krakowski i śląski. Dotychczas pomyślały o tem Kraków i Katowice. Kraków urządził akademję i zajął się jego grobem, Katowice uczciły Bandtkiego ostatnim komunikatem, pióra H. Barycza. Słusznie tam podkreślono jego wielkie znaczenie jako organizatora polskiej nauki, — pierwszy np. wprowadził seminarja na naszych uniwersytetach.

Pozatem oczywiście uwypuklono jego śląskość i liczne jego prace o Śląsku.

Bardzo ciekawym, a dla większości i bardziej interesującym jest drugi z ostatnich komunikatów, mówiący o współczesnej twórczości literackiej Śląska. Trudno streszczać ten interesujący i obszerny artykuł. Warto tylko — w związku z poprzedniemi uwagami o odrębności Śląska, — dodać jeszcze jedno, że Śląsk jest jedyną polską ziemią (poza Mazowszem Pruskiem), której polskość nie znajduje oparcia w miejscowej szlachcie i której kultura jest nawskroś ludowa. To jest może najistotniejszy powód jego wyraźnej odrębności i jego egzotyzmu. To także tłumaczy wiarę niektórych, podzielaną przez autora komunikatu p. A. Jesionowskiego, że „Śląsk jest predestynowany do wytworzenia nowego typu Polaka". Śląsk jest naprawdę inny od reszty Polski; — on swoją polskość wygrzebał z popiołów, wskrzesił swe społeczne szczyty z chłopstwa, podobniejszy w tem do Czechów, niż innych cząstek własnej ojczyzny. On jak i Czechy był tylko pod wpływem kultury dworu szlacheckiego, (jak nasza kultura wpływała na Czechów warto czytać u Szyjkowskiego), ale nie na niej wykarmiony, jej obcy. Ta jego inność musiała się odbić w literaturze, co już powierzchownie się dostrzega, obserwując w niej same ludowe nazwiska i duży udział księży, zupełnie jak u pobratymczych Słowaków.

Oprócz komunikatów Instytut Śląski podjął jeszcze i inną, równie szczęśliwą myśl — wydawania zestawień bibljograficznych. Wydano właśnie zeszyt pierwszy za czas do kwietnia bieżącego roku. Zestawiono aż 192 pozycyj, przyczem ostatnią i dzięki temu rzucającą się odrazu w oczy stanowi: „W pięćdziesięciolecie konferencji katowickiej ruchu Chibbat Syjon 1884 — 1934" — wydane przez komitet lokalny organizacji syjońskiej w Katowicach. Śląskość tego druku jest czysto przypadkowa, oparta tylko na miejscu wydania (nawet drukowano tę rzecz nie w Katowicach, a w Krakowie) — a treść całkowicie nam obca. Nie warto go więc było w zestawieniu umieszczać, no, ale jak widać „międzynaród" żydowski wszędzie wlezie.

K. S. F.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Na uroczystem posiedzeniu Akademji Umiejętności w Krakowie w d. 22 czerwca, odbytem pod przewodnictwem prezesa prof. Wróblewskiego, sekretarz Akademji prof. Kutrzeba odczytał sprawozdanie, w którem wspomniał, że Akademja poniosła w roku ubiegłym niepowetowane straty przez śmierć wybitnych swych członków, a więc b. prezesa Akademji prof. Rozwadowskiego, o którym wspominał też prezes Wróblewski, dalej przez śmierć prof. Wacława Sobieskiego, Marie Curie ze Skłodowskich. Z członków Polskiej Akademji Umiejętności nie Polaków zmarli w okresie sprawozdawczym dwaj niepospolici a szczerzy przyjaciele Polski: Rajmund Poincaré i Emil Bourgeois. Pamięć zmarłych uczcili zebrani przez powstanie.

Ubiegły rok był dla Polskiej Akademji Umiejętności jednym z najcięższych pod względem finansowym.

Między innemi sprawozdawca poświęcił kilka słów głośnej reformie pisowni polskiej, którą Akademja podjęła w porozumieniu z ministerjum W.R. i O.P. celem ustalenia pisowni i oświadczył: „Nie będzie żadnych inowacyj, burzących to, co było".

Nagrodę im. Jerzmanowskich przyznano ks. Wacławowi Blizińskiemu z Liskowa w powiecie kaliskim na działalność humanitarną; nagrodę imienia Barczewskiego za pracę historyczną Zygmuntowi Wasilewskiegmu za dzieło p. t. „Norwid". Ponadto przyznano nagrody: prof. Kazimierzowi Sichulskiemu za portret ś. p. red. Srokowskiego, A. Karnemu za portret w bronzie Marjusza Maszyńskiego. Nagrodę z zakresu muzyki nadano Michałowi Kondrackiemu za „Symfonję góralską" i wreszcie nagrodę za najlepszą pracę lekarską prof. Janowi Szmurle z Wilna.

Po sprawozdaniu sekretarza jeneralnego, prof. Białobrzeski z Warszawy wygłosił odczyt p. t. „Nauka ścisła o przyrodzie na tle ogólnych wartości kultury".

*

Walne Zgromadzenie Polskiego Tow. Historyaznego odbyło się w tych dniach we Lwowie. Istnieje ono od 47 lat. Z ogłoszonego drukiem sprawozdania dowiadujemy się, że w ostatnim roku Tow. urządziło 126 posiedzeń naukowych. Oddziały Tow. istnieją w Warszawie, Krakowie, Poznaniu. Najważniejszą publikacją Tow. w tym roku była propagandowa książka wydana w kilku językach *„Deutschland und Polen"*. Zamierzono wydanie dzieła: „Polska i jej sąsiedzi". Tow. wydaje czasopismo „Kwartalnik Historyczny" (roczn. 48-y) oraz Bibljografję historji polskiej, rozpoczętą przez ś. p. Finkla. Prezydjum Zarządu po zrzeczeniu się prof. Bujaka, stanowią: prezes St. Zakrzewski, wiceprezesi: Barwiński, Kętrzyński, Semkowicz, Tymieniecki. Zebranie zakończyło się odczytem Ludwika Kolankowskiego na temat stosunku dworu polskiego z czasów jagiellońskich do kwestji tatarskiej („Problem Krymu za Jagiellonów").

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Polska Macierz Szkolna wydała „Poradnik Bibljoteczny", katalog ułatwiający wybór książek w bibljotekach oświatowych. Zadaniem katalogu jest dać wskazówki kierownikom bibljotek oświatowych przy doborze książek dla bibljotek, ułatwić im właściwe obsłużenie czytelnika przez ugrupowanie książek (przedewszystkiem powieści) wedle rodzajów i zagadnień i dobranie czytelnikowi lektury, odpowiadającej jego zainteresowaniom.

Katalog obejmuje około 3.000 pozycyj, powieści, podróży i opowiadań krajoznawczych, żywotów Świętych i świątobliwych ludzi, pamiętników, wspomnień, nowel oraz osobny dział książek dla dzieci i młodzieży z zaznaczeniem lektur szkolnych, ugrupowanych wedle rodzaju zagadnień i wieku młodych czytelników. Wyboru książek dokonano na zasadzie wartości moralnych oraz artystyczno-literackich.

Wydawnictwo Polskiej Macierzy Szkolnej może oddać rzetelne usługi kierownikom bibljotek i świetlic, wogóle pracownikom oświatowym, jak również rodzicom i wychowawcom, oraz wszystkim czytelnikom, którzy poszukują prawdziwie dobrej książki.

*

Nowość bibljograficzna: „Wykaz literatury bieżącej o Śląsku". (Pod redakcją Jacka Koraszewskiego. Dodatek do komunikatów Instytutu Śląskiego. Nr. 1 Styczeń—Marzec 1935 r.). Publikacja ta rozpoczyna nową serję wydawnictw Instytutu Śląskiego. Wykaz ten obejmuje 192 druków polskich i zagranicznych, odnoszących się do Śląska, które ukazały się w ciągu pierwszego kwartału b. r.

TEATR

„SZESNASTOLATKA"

„SZESNASTOLATKA", sześcioodsłonowa sztuka Filipa i Aimée Stuartów, wystawiona w teatrze Nowym, to dramat nieskomplikowany wprawdzie, niesensacyjny, ale bardzo dobrze skonstruowany, dający wyborne pole do popisu aktorom, a raczej aktorkom, gdyż w spisie osób przeważają kobiety. Państwo Stuartowie to nie nowicjusze w zawodzie dramatopisarskim. Rzemiosło swoje znają doskonale i umieją znakomicie operować efektami dramatycznemi. Pokazali nam rodzinę angielską, złożoną z babki, matki i dwu dziewcząt, nie wstydząc się pokazać życia domowego detalicznie, nie gardząc pokazaniem na scenie tortu imieninowego z obrzędowemi, angielskiemi świeczkami, ani też nie wyrzekając się efektu płókania gardła za sceną w łazience przez jedną z bohaterek. Efekty te nie podobały się niektórym krytykom. Publiczność jednak nie była z nich niezadowolona. Publiczność realizm lubi. Domaga się go niekiedy nawet od utworów poetyckich.

W teatrze Nowym na przedstawieniu „Szesnastolatki" realizmu było tyle, że nasycona publiczność nie żądała nic więcej ponadto, co jej na scenie pokazano. Otóż zacna babcia, cierpiąca na reumatyzm, mama i dwie miłe dziewczynki (jedna czternasto-, druga szesnastoletnia) żyją sobie szczęśliwie, wraz z dystyngowaną kucharką - boną - pokojówką, w „ubogiem", londyńskiem mieszkanku, które nam, warszawiakom wydaje się apartamentem luksusowym. Mama po śmierci papy, dzielnego ongiś oficera, który w parę lat po wojnie zginął wskutek katastrofy automobilowej, poświęca się dla swych córek i utrzymuje dom własną pracą. Praca ta, nam warszawiakom, przywykłym do dwustuzłotowych posad biurowych i znacznie tańszych lekcyj, przepisywań i t.p., nie wydaje się szczególnie uciążliwą, ani wymagającą samozaparcia. Mama jest kierowniczką działu w domu mód. Pensję ma przyzwoitą, stać ją na kurację w południowej Francji i na kształcenie dzieci w szykownym zakładzie naukowym. Ubiera się oczywiście prześlicznie, bo firma daje jej rabat. Jednem słowem los tej „ubogiej" londyńskiej wdowy przedstawia się oczom warszawiaka dość znośnie. Są oczywiście drobne zmartwienia: artretyzm babci, kreski mamy, gastryczne przypadłości córeczek. Zmartwienia te nie są jednak tragedjami. W domu panuje wzajemna miłość, harmonja, dobry humor. W uroczystym dniu urodzin bohaterki tytułowej mama wraca samolotem z Cannes, przywożąc córeczce wspaniały prezent, wymarzone oddawna futro — symbol dorosłości. Równocześnie z mamą zjawia się w domu bardzo przystojny gentleman, zamożny, wzięty adwokat londyński, którego mama poznała podczas pobytu zagranicą. Gentleman przypada do serca całej rodzinie: babci, wnuczkom i dystyngowanej kucharce. Dziewczynki są zachwycone przyjacielem mamy, a zachwyt ich dochodzi do punktu kulminacyjnego, gdy miły pan zaprasza całe towarzystwo na obiad do pierwszorzędnej restauracji, a następnie do teatru.

Dramat rozpoczyna się po teatrze. Szesnastolatka, wszedłszy przypadkiem do salonu, zastała matkę i adwokata całujących się. Tragedja. Matka w oczach dziewczyny była wzorem doskonałości, wzorem nieposzlakowanym, świętym. Dziewczynka wyobrażała sobie, że można kochać tylko raz w życiu. Była święcie przekonana, iż matka dochowa do grobowej deski wierności nieboszczykowi ojcu. Wychowano szesnastolatkę w przeświadczeniu, iż ojciec jej był bohaterskim żołnierzem, rycerzem bez trwogi i zmazy. Przemilczano przed nią fakt, iż matka w małżeństwie z nim była bardzo nieszczęśliwą. B. oficer zdradzał żonę. Podczas katastrofy, w której postradał życie, znajdował się w stanie nietrzeźwym i w wesołem towarzystwie. Dowiedziawszy się, że matka jej zamierza wyjść zamąż powtórnie za miłego adwokata, sze-

snastolatka dostaje ataku histerycznego. Zamierza popełnić samobójstwo. Usiłuje utopić się w Tamizie. Na szczęście w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Utopiła tylko futro, które, jak się okazało, było poczęści prezentem adwokata.

Żeby uleczyć desperatkę, lekarz, przyjaciel rodziny, opowiada jej całą prawdę o ojcu, niszcząc niemiłosiernie fałszywą legendę, która spowodowała dramat. Morał sztuki jest następujący: nie należy wychowywać córek w przesadnym kulcie dla ojców, gdyż to może przeszkodzić matkom do zawarcia powtórnych małżeństw. Być może, iż w Anglji „Szesnastolatka" będzie miała skutki praktyczne. Być może, iż znajdą się Anglicy, którzy wskazania dydaktyczne autorów zastosują i będą mówić sierotom: „Niewarto żałować tatusia, bo tatuś był łajdak". U nas w Warszawie przemawiać tak do dzieci prawdopodobnie nie będziemy. Lubimy legendy. Zmarłych apoteozujemy i nie uważamy, żeby to było złe. Sztuka pp. Stuartów interesuje nietyle jako studjum psychologiczne, nietyle jako problemat społeczno-wychowawczy, ile raczej jako widowisko teatralne. Jakże wdzięczną rolę ma naprzykład p. Stanisława Wysocka—babcia. Ileż wybornych epizodów z tortem, herbatą, włóczką, telefonem. Ach, ten telefon! Zamieraliśmy z niepokoju o szesnastolatkę, gdy babci jej, dzwoniącej do szkoły i po doktora, plątały się po mistrzowsku palce na tarczy numerowej. Cudowna kreacja! Pani Mila Kamińska jako mama była wzorową reprezentantką wielkiego domu mód. Obnosiła po scenie wspaniałe toalety, fryzurę, *manicure* i t. d. W momentach dramatycznych sztuki zdobywała się na grę przejmującą i wzruszała nas pomimo żurnalowej popularności swojego wyglądu. Pyszną była czternastoletnia Bebe, znakomitym lekarz i idealnym narzeczony mamy (pp. Żeliska, Brydziński, Brodniewicz), ale największe komplementy należą się pani Ninie Świerczewskiej, która stworzyła szesnastolatkę autentyczną. Patrząc na tę przemiłą i wysoce utalentowaną artystkę nie chciało się wierzyć, że ma ona w rzeczywistości lat dwadzieścia parę. S. J. G.

FILM

JEDNYM z zasadniczych niedostatków naszych filmów krajowych są słabe naogół scenarjusze, nie grzeszące inteligencją pomysłów, nieciekawe, lub słabo rozbudowane, tak, iż kanwy tematu nie starcza, by wyhaftować na niej zajmującą całość wizualną filmu. Więc się łata luki, a w jaki sposób — o tem niejednokrotnie pisałem. Ale czasem bywa także odwrotnie, dobry pomysł dostaje się w nieodpowiednie ręce, które nic nie potrafią z niego wydobyć i ciekawy temat marnują.

Uwagi powyższe nasuwają mi się w związku z obecnie wyświetlanym, w jednym z kin, filmem p. t.: „Powrót Frankensteina" (reż. James Whale). Jest to dalszy ciąg niejako utworu, który widzieliśmy, o ile się nie mylę, w ubiegłym roku. Przypomnę pokrótce jego treść: sztuczy człowiek, monstrum, powołane do życia w laboratorjum uczonego, wyzwala się z pod opieki ludzkiej, ucieka i rozpoczyna dzieło zniszczenia. Uczony go stworzył, wdarł się w prawa Stwórcy, ale jego stwór, który miał być posłusznem narzędziem w ręku wykonawcy, wyzwolił się z pod tej władzy i rozpoczął życie na własną rękę. Uczony pragnął ulepszać świat, ale nie przewidział konsekwencji swego wynalazku. Tu właśnie otwierają się rozległe perspektywy na wizję świata, narażonego na rezultaty ludzkich „ulepszeń" dzieła Stwórcy. Wizji tej, inteligentny i obdarzony fantazją reżyser, mógłby nadać frapujący pod względem filmowym kształt, niestety film, o którym mowa, nie poszedł po tej linji.

Także w „Powrocie Frankensteina" zmarnowano możliwości naprawdę ciekawego rozwiązywania tematu. W dalszym ciągu wszystko z rykiem i wszaskiem ucieka przed człowiekiem-potworem, lub urządza nań obławy. Nie należy się dziwić zbytnio, że potwór tak z ludźmi postępuje, nasze współczucie powinno być po jego stronie, bo wyobraźmy sobie s i e b i e na chwilę w jego roli. Gdyby na widok którego z nas wszyscy uciekali przerażeni, pierwszym naszym odruchem byłoby podejść do lustra i sprawdzić, co budzi w nas taką grozę. Gdybyśmy w swoim wyglądzie nie znaleźli żadnego usprawiedliwienia dla strachu bliźnich przed nami, nasze uczucie wobec nich nie byłoby bynajmniej przepojone życzliwością. A przecież człowiek - monstrum nie zdawał sobie sprawy z okropności swego wyglądu, innemi słowy: ona dla niego nie istniała. Powołano go do życia jako człowieka, a ludzie do swej społeczności nie chcieli go przyjąć. Tu jest materjał na dramat, ale wątpliwe, czy filmowcy go zobaczą.

Tylko niewidomy pustelnik nie odtrącił potwora, bo nie widział jego postaci; ten fragment należy do najinteligentniej pomyślanych w całym filmie. Nie wygrano jednak wszystkiego, co mogło wyniknąć z takiego postawienia sprawy.

Gdy człowiek-monstrum dostaje towarzyszkę, również w laboratorjum spreparowaną kobietę, znowu się zaczynają hece i wrzaski. A przecież fantazja, rysująca narodziny i rozwój uczucia, od najprostszych form, w człowieku-monstrum mogła się ukształtować wcale interesująco. Obraz taki wymaga jednak od reżysera wyobraźni, a także inteligencji.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. KONSTANTY SROKOWSKI

UBYŁ z grona publicystów polskich dawnego pokroju galicyjskiego jeden z najwybitniejszych, ś. p. Konstanty Srokowski. W młodości uważał się za pisarza ruskiego; wydał zbiór nowel w języku małoruskim. W r. 1900 wstąpił do „Słowa Polskiego" za redakcji Rutowskiego i Romanowicza, pewno zachęcony do polskości przez Platona Kosteckiego. Po objęciu „Słowa" przez stronnictwo wszechpolskie (DN) ustąpił wraz z całą poprzednią redakcją, która założyła konkurencyjne „Nowe Słowo Polskie". Gdy jednak wkrótce obóz liberalno-demokratyczny zamknąć musiał ten dziennik dla braku poczytności, Srokowski wstąpił z powrotem do „Słowa Polskiego", ale już w r. 1904 przeniósł się do „Nowej Reformy" w Krakowie, redagowanej przez M. Konopińskiego. Tu pracował do końca jej istnienia; ostatnio prowadził dział polityki zagranicznej w „I. K. C.".

Uzdolniony i wykształcony ponad przeciętność pisarz wyróżniał się w swem środowisku także charakterem. Należał do NKN-u i tam odgrywał dużą rolę, ale z przekonania. Za mało miał polskiego instynktu, aby się w sprawie polskiej zorjentować. Ale po wojnie w wydanej książce o NKN-ie przyznał się do błędu. Oprócz historji Nacz. Kom. Nar. wydał osobno studjum „Elita bolszewicka", a przed wojną „Upadek imperjalizmu Austrji", oraz dramat „Bohaterowie".

Jako człowiek uczciwy i dobrego serca lubiany był i szanowany.

W.

B. P. PROF. SZYMON ASKENAZY

ZMARŁ w Warszawie, przeżywszy lat 69, wybitny polityk i uczony historyk żydowski, b. p. prof. Szymon Askenazy. Dzieła historyczne pisał w języku niemieckim i polskim „(*Das letzte polnische Koenigswahl*", „Książę Józef Poniatowski", „Łukasiński" i in.). Zarówno swem oddziaływaniem osobistem jak i swemi publikacjami naukowemi wywierał niemały wpływ na Polaków, to też rola, jaką dzięki swojej wiedzy i talentowi zdołał odegrać, zasługuje na jaknajbardziej sumienne zbadanie i omówienie.

Pochowano go na cmentarzu starozakonnych przy ul. Okopowej.

W nr. 25 w wierszu „Powitanie wiosny" w szpalcie 2 wiersz 2 zamiast „żałosne i miłe" powinno być „r a d o s n e i miłe".

POKŁOSIE

O TABAKIERZE i NOSIE

OBÓZ sanacyjny zaczyna się wreszcie niepokoić zbytnim wzrostem biurokracji w dzisiejszej Polsce. P. M. Jaroszyński, specjalista tego obozu od spraw samorządowych pisze w organie rządowym:

„...Nie brak nam wprawdzie dobrych chęci, a nawet cząstkowych udatnych prób ukrócenia biurokratyzmu, jest to jednak kropla w morzu. Dobrze naoliwione kółka kręcą się coraz sprawniej, ale społeczne rezultaty są nikłe. Energję zużywają w znacznej mierze na to, żeby się kręcić... Obywatelowi jest źle. Źle jest wszystkim, a najgorzej ekonomicznie najsłabszym. Stracili bowiem wszyscy, lecz najsłabsi najmniej mieli z czego tracić. Natomiast stosunkowo najlepiej jest tym, którzy są zatrudnieni przy kręceniu kółek naszego publicznego życia. Gospodarstwo publiczne znalazło się pod znakiem tabakiery".

Ustanowione pierwszeństwo tabakiery przed nosem nie da się już, zdaniem p. Jaroszyńskiego, tak łatwo odmienić, gdyż maszyna biurokratyczna nabrała odpowiedniego do jej masy bezwładu, stawiającego skuteczny opór zamierzeniom „góry": „Przeprowadzić przez aparat nieskażoną wolę centrali jest wogóle jednym z najtrudniejszych problemów rządzenia. Tem trudniej to oczywiście przychodzi, gdy wola dotyczy ograniczenia tego właśnie aparatu, który ma ją przeprowadzić".

Miło jest stwierdzić, że w obozie rządzącym ostatecznie dostrzeżono problem, przed którego powstaniem publicystyka narodowa ostrzegała od lat piętnastu. Lepiej późno, niż nigdy.

Niesłychanie szybkie zbiurokratyzowanie się inteligencji i półinteligencji polskiej jest niewątpliwie ciekawym problemem socjologicznym. Przeczy rozpowszechnionym komunałom o rzekomych rogatych duszach, zamiłowaniu do niezależnościu, ukochaniu samodzielności i t. p. Przykład Królestwa Kongresowego, a później Galicji, gdzie po krótko trwającym okresie przejściowym, w którym młodzież szlachecką trzeba było zachęcać do obejmowania stanowisk administracyjnych, opuszczanych przez Precliczków, kult urzędu rozwinął się nad wyraz bujnie — powinien był dać przedsmak tego, co się stanie w Polsce odrodzonej. Tembardziej że do tych, zdawna działających skłonności, przybyły nowe: socjalistyczne dążenie do urządzenia wszystkiego i kierowania całym społeczeństwem z „góry", oraz bardzo zrozumiała chęć przyssania się do skarbu państwa, ku czemu doskonały pretekst stanowiły bądź istotne, a częściej rzekome prace i poświęcenia w okresie zaborów.

Tak, czy inaczej, mamy oto wspaniale rozrośniętą maszynę biurokratyczną, zjadającą tak wielką część dóbr społeczeństwa, że nawet polityk obozu radosnej twórczości zaczyna się zastanawiać, czy nos jest dla tabakiery, czy też ostatecznie tabakiera dla nosa?

Nie my jedni skarżymy się na taki stan rzeczy. Przed niedawnym czasem wskazywano w „Myśli Narodowej", jak to biurokratyzacja poczyniła niesłychane postępy we Francji, gdzie olbrzymi budżet, pochłaniający dwie trzecie dochodu społecznego, w znacznej części składa się z wydatków osobowych na najrozmaitsze pensje, emerytury i t. p. U nas stosunek wydatków osobowych do innych jest w budżetach państwa i samorządów zastraszający i na to trzeba ustawicznie zwracać uwagę, gdyż, jeżeli jest słuszne, że nie może być Wielkiej Polski bez wielkiego budżetu, to wielki budżet nie tworzy potężnego państwa, jeżeli będzie przejadany głównie przez rzesze funkcjonarjuszy, bez których pilnej działalności państwo i społeczeństwo nietylko by się obyło bez szkody, ale nawet z pożytkiem.

Dziś ta sprawa wysuwa się nas na czoło zagadnień, bo istotnie nie wytrzymamy długo nieprodukcyjnych wydatków. Widoczne to jest już dla wszystkich na mniejszym terenie ubezpieczeń społecznych, gdzie bujne chwasty wydatków administracyjnych zagłuszają kompletnie wątłą roślinkę pomocy na wypadek choroby. To samo dzieje się i w skali państwowej i nasza potęga będzie cherlać akurat tak samo, jak pacjent kasy chorych.

Ale jest jeszcze inna strona kwestji. Narzekania na biurokrację słychać teraz również w wolnej do niedawna od tej plagi Anglji. Bogaty ten kraj nie skarży się tyle na ciężar pieniężny maszyny biurokratycznej, rozrośniętej po wojnie nad miarę, ile na to, że biurokracja owa nie daje obywatelowi spokojnie żyć, miesza się do wszystkiego, zagarnia do swej kompetencji coraz szerszy zakres praw i reguluje dekretami to, co dawniej musiało mieć sankcję instancyj ustawodawczych, parlamentu, gdzie zasadnicze prawa obywatela znajdowały ochronę. Szczególnie głośne są skargi na t. zw. opiekę społeczną i na biurokrację oświatową, probującą nieraz odbierać dzieci rodzicom pod pretekstem niedostatecznych warunków nauczania, jakie mają w domu, lub skazującą na grzywnę ojców, nie godzących się na dokonanie prewencyjnej operacji na zdrowem dziecku, uznanej przez lekarza szkolnego za wskazaną, a za niepotrzebną przez wezwanego znakomitego specjalistę prywatnego.

To samo, tylko na większą skalę, widzimy u nas. Niedawno można było czytać w prasie rządowej dość słuszną ocenę naszej młodej, ale już wyrośniętej biurokracji, z której wynikało, że jest ona o tyle zarozumiała, o ile nieudolna. Wszystko wie oczywiście lepiej od zwykłego obywatela i wszędzie chce go otoczyć swą wszechstronną opieką. I tu t. zw. opieka społeczna gra pierwsze skrzypce. Weźmy np sprawę szczepień ochronnych. Jakaś biurokratyczna instancja rozstrzygnęła ją u nas *de facto*, aczkolwiek *de jure* sprawa jest otwarta. Obowiązują ustawowo u nas jedynie szczepienia ospy, a mimo to co rok prawem kaduka szczepi się dzieci szkolne od innych chorób i to dla pewnych kategoryj dzieci przymusowo, mimo że do tego przymusu brak wszelkiej podstawy prawnej, a podstawa naukowa bynajmniej nie jest bezsporna. Dość przeczytać z jak wielką rezerwą traktują szczepienia prawdziwi uczeni, znakomici badacze tej dziedziny medycyny (np. dr. Ch. Nicolle z Instytutu Pasteura w swej pracy „*Les origines des maladies infectieuses*"). U nas jakiś „fizyk" powiatowy zadecydował, że dzieci mają być np. szczepione od tyfusu, szkarlatyny i t. p. i rad jest, że ma mniejszą liczbę zachorowań, a co się dzieje z późniejszym rozwojem naszpikowanych szczepionkami dzieci, to cóż to kogo obchodzi.

Tak oto problem nosa i tabakiery ma nietylko swą stronę pieniężną, ale i zasadniczą, stronę walki z tyraństwem pseudo wiedzy, uczoności niedouków, tyraństwem w skutkach fatalnem, a którego tylko jeden przykład przytoczyliśmy.

ARGUS

NA MARGINESIE

U C. Norwida w dialogu „Wiesław" (w „Promethidionie") jest ustęp, który nie znalazł dotąd trafnego interpretatora. Brzmi on tak:

„Ztąd to natchniony kmieć na t r a f o w n i k ó w,
Na powierzchownej prawdy udawaczy,
Ma ono mądre słowo: C a r o w n i k ó w.
C a r w ludzie jest to, co *le prestige* znaczy.

Więc niechaj prawdą dla prawdy walczący
Wpierw r o z c z a r u j ą Czar ów Carujący,
Car ów, co władzy zewnętrznem kłamaniem
(Więc nie od Boga władzy pochodzącej),
Niech go odgarną dziś, a dziś powstaniem!
Dziś jeszcze, wstawszy stąd, od tego stołu..."

Klub BB w Sejmie ma podobno czarującego interpretatora. Niech to wytłumaczy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM